

JADWIGA KIWERSKA
Poznań

PERSPEKTYWY POLITYKI BILLA CLINTONA WOBEC EUROPY

1. UDANA REELEKCJA

Od momentu rozpadu Związku Radzieckiego mianem jedyne go supermocarstwa na świecie cieszą się Stany Zjednoczone. Z jednej strony oznacza to zasadniczą poprawę bezpieczeństwa Ameryki, z drugiej zaś – rodzi nowe wyzwania dla polityków amerykańskich. W kierunku Stanów Zjednoczonych spogląda bowiem wiele państw dawnego bloku radzieckiego, starających się znaleźć bezpieczne miejsce w kształtującym się nowym porządku międzynarodowym. Jako pierwsze mocarstwo na świecie, USA nie mogą uciec od pewnych zobowiązań i odpowiedzialności, wynikających automatycznie z ich siły i pozycji.

W obliczu takiej sytuacji nie dziwi fakt, że wydarzenia wpływające na kształt i charakter amerykańskiej strategii zewnętrznej są bacznie obserwowane za granicą. Wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych należą do tych zdarzeń, które znajdują się w centrum uwagi wielu państw. Tymczasem w kampanii wyborczej 1996 r. brak było poważnej dyskusji na temat polityki zagranicznej.

Zresztą tradycyjnie już w amerykańskiej kampanii wyborczej polityka zagraniczna nie odgrywa większej roli. Tak było nawet w krytycznym 1968 r. w szczytowym okresie wojny wietnamskiej. Zbytne angażowanie się na polu międzynarodowym może nawet przyczynić się do klęski wyborczej. Sytuacja taka pojawiła się w 1920 r., gdy kandydat demokratów James M. Cox przegrał wyścig do Białego Domu między innymi dlatego, że był postrzegany przez opinię publiczną jako kontynuator wilsonowskiej polityki zaangażowania. Tak też było przed czterema laty, gdy Clinton pokonał George'a Busha na fali krytyki zbyt dużej aktywności urzędującego prezydenta na arenie międzynarodowej. Clinton przedstawiał siebie jako specjalistę od gospodarki i polityki wewnętrznej, a Busha ironicznie określał „prezydentem tylko od polityki zagranicznej”. Brak doświadczenia gubernatora z Arkansas w prowadzeniu

polityki zagranicznej oraz jego niezwykle powierzchowna wiedza na tematy międzynarodowe nie były przeszkodą na drodze do Białego Domu. Zwycięstwo przyniosła Clintonowi jego kompetencja w sprawach gospodarczych i zrozumienie dla wagi polityki wewnętrznej.

Można było też zakładać, że ubiegający się o reelekcję prezydent będzie rozliczany przede wszystkim z osiągnięć na polu polityki wewnętrznej, że kwestie międzynarodowe będą miały znaczenie drugorzędne. Zresztą warto dodać, że cały przebieg kampanii wyborczej 1996 r. charakteryzował się dużą ospałością, brakiem pasji i jakiegokolwiek dalekosiężnej wizji, prezentowanej przez ubiegających się o wybór kandydatów. Wprawdzie Clinton mówił o budowanym przez siebie moście w XXI wiek, ale hasło to należało odbierać raczej w charakterze propagandowego sloganu, a nie jako zapowiedź porywającej idei na miarę przełomu wieku.

Brak dominacji spraw z zakresu polityki zagranicznej wynikał poniekąd stąd, że nie było jakiegoś rzeczywistego zagrożenia dla amerykańskich interesów w świecie. Na horyzoncie nie jawił się wróg na skalę faszystwu i militarysty, jak było w latach trzydziestych, czy na miarę komunizmu, jak w latach czterdziestych. Nie wydarzyła się żadna katastrofa międzynarodowa, która zaabsorbowałaby uwagę polityków w stopniu większym niż walka z zadłużeniem budżetowym i bezrobociem. Wprost przeciwnie, USA cieszą się rolą „wyłącznego supermocarstwa”. Opinia publiczna zdominowana jest poczuciem, że Ameryka wygrała zimną wojnę, gdyż była silniejsza i lepsza od Związku Radzieckiego. Satysfakcji płynącej z tego faktu starczy Amerykanom jeszcze na długo.

Ponadto w polityce zagranicznej Clinton nie popełnił żadnego tak znaczącego błędu, który stałby się punktem zaczepienia dla powszechnie podzielanej krytyki. Po pierwszych wahaniach Stany Zjednoczone w końcu doprowadziły (dzięki zdecydowanej interwencji zbrojnej) do wprawdzie kruchego, ale nadal obowiązującego pokoju w Bośni. Mimo zahamowania procesu pokojowego na Bliskim Wschodzie, nadzieja na jego kontynuację jest dość wyraźna, a Waszyngton był miejscem spotkania przywódców bliskowschodnich: najpierw Icchaka Rabina i Jasera Arafata, a następnie Benjamina Netaniahu i Arafata. Zwycięstwo Borysa Jelcynga w wyborach prezydenckich, pozwoliło administracji Clintona odetchnąć z ulgą. Poparcie (także finansowe), udzielane rosyjskiemu przywódcy nie poszło na marne. Opłaciła się też stanowczość wobec Sadama Husajna, który zmuszony został do wycofania się z akcji atakowania pozycji Kurdów.

I choć przeciętnego Amerykanina wszystkie te problemy obchodzą znacznie mniej niż kwestie przestępczości, narkotyków i ubezpieczeń chorobowych, to jednak chcą mieć poczucie, że ich prezydent dba o amerykańskie interesy za granicą, zmusza innych do respektowania ich kraju i umacnia rolę USA w świecie. Clinton w 1996 r. jawił się jako przywódca, który tym podstawowym wyzwaniom podolał. I choć na początku swej kadencji był krytykowany za

brak stanowczości, wahania opóźniające podejmowanie ważnej decyzji, zbytnie uleganie nastrojom opinii społecznej, to jednak pod koniec urzędowania prezydent reagował zdecydowanie i spektakularnie. Zwłaszcza jako pośrednik w niespokojnych regionach świata.

Zresztą należy podkreślić, że ostrożność, a nawet połowiczność działań jest akceptowana przez przeciętnego Amerykanina. Jest on zadowolony, gdy jego prezydent nie wdaje się w awantury za granicą i nie naraża tym samym życia i zdrowia amerykańskich chłopców. *Casus* Wietnamu działa bowiem nadal żywo na amerykańską wyobraźnię. Lepiej poczekać, zwłaszcza gdy nie są zagrożone interesy USA, w końcu niech też inni coś zrobią. Na nas przyjdzie czas w ostateczności. Wydaje się, że z powodzeniem taktykę tę opanował Clinton. Zwlekał z wysłaniem oddziałów amerykańskich do Bośni. Wreszcie pod wpływem nacisków mediów, krytyki opozycji, a przede wszystkim po blamażu państw europejskich zdecydował się na szybką akcję lotnictwa i równie szybką ofensywę dyplomatyczną, zakończoną porozumieniem w Dayton. Zadziałał w momencie, gdy pojawiło się niebezpieczeństwo zakwestionowania przydatności *NATO* i przodującej w nim roli USA.

W takiej sytuacji kontrkandydat Clintona do najwyższego urzędu w państwie, republikanin Robert Dole mógł jedynie krytykować pewne metody urzędującego prezydenta, zbytnią spektakularność jego gestów i posunięć na arenie międzynarodowej, mógł wypomnieć mu brak stanowczości, słabość w reprezentowaniu interesów amerykańskich, ale nie główne cele i kierunki jego działań. Bo też trudno było mówić o zasadniczych rozbieżnościach poglądów obydwu kandydatów. Różnice dotyczyły raczej taktyki niż strategii, można było spierać się nie o cele, ale metody i sposoby realizacji oraz obrony amerykańskich interesów za granicą¹. To też był kolejny powód, dla którego polityka zagraniczna nie mogła zdominować kampanii wyborczej 1996 r. Wprawdzie Dole usiłował ożywić walkę wyborczą tematami zagranicznymi, ale jednak bez większej siły przekonywania. Zarzucał Clintonowi, że jego dyplomacja polega na serii fotogenicznych imprez, jak uściski dłoni na trawniku przed Białym Domem, że zbyt często działa na zwłokę, co jest objawem jego słabości. Ale sam nie był w stanie wykazać, że potrafiłby zrobić to inaczej, krytyce więc zabrakło ostrości i nie dotyczyła ona istotnych kwestii.

Marginalne znaczenie wśród podejmowanych tematów miała też kwestia rozszerzenia *NATO*, mimo że jest ona uważana za jeden z najważniejszych punktów amerykańskiej polityki zagranicznej. Głównie dlatego, że Clinton i Dole mieli w tej sprawie zbliżone zdanie. Obaj kandydaci opowiadali się za otwarciem Sojuszu na Wschód. Jednak republikanie zarzucali administracji Clintona, że celowo i świadomie spowalnia proces rozszerzania *NATO*, jego

¹ Zob. W. Kristol, R. Kagan, *Toward a Neo-Reaganite Foreign Policy*. „Foreign Affairs”, July/August 1996, s. 18.

tempo uzależnia zbyt wyraźnie od przyzwolenia Moskwy. Dole twierdził nawet, że prezydent od 1993 r. mówi o rozszerzeniu *NATO* i od 1993 r. zapiera się nogami przeciw temu. Rzeczywiście administracja przez dłuższy czas zachowywała się tak, jakby chciała poprzestać na ciągle powtarzanych obietnicach o rychłym rozszerzeniu Sojuszu. W Waszyngtonie żartowano, że ekipa Clintona przewiduje rozszerzenie *NATO* na drugą kadencję prezydenta Alberta Gore'a, czyli między rokiem 2005 a 2009. Obrońcy spowolnienia procesu argumentowali tradycyjnie, że Biały Dom nie chce tworzyć nowych linii podziału w Europie. Zarówno tych na Wschodzie, jak i tych wewnątrz *NATO*.

Natomiast republikański kandydat był wśród wnioskodawców przyjętej w lipcu 1996 r. rezolucji Gilmana (od nazwiska jej autora republikańskiego kongresmana Benjamina Gilmana) o przyznaniu Polsce, Czechom, Węgrom i Słowenii symbolicznej pomocy wojskowej w wysokości 60 mln dol., przeznaczonej na przystosowanie ich sił zbrojnych do standardów *NATO*. Biały Dom początkowo sprzeciwiał się ustawie, jednak w końcu ją poparł, co zadecydowało, że została ona przyjęta głosami aż 81 senatorów. W ten sposób administracja usiłowała zamknąć sprawę rozszerzenia *NATO* jako temat kampanii wyborczej. Po co spierać się w tej kwestii, jeśli właściwie występuje zbieżność poglądów.

Tymczasem podczas sierpniowej konwencji Republikanów były sekretarz stanu James Baker oświadczył, że pora skończyć z obietnicami i już dziś przyjąć Polskę, Węgry i Czechy do *NATO*. Była to najdalej idącą propozycja, jaka padła z ust liczącego się polityka podczas całej kampanii wyborczej. Sam Dole w wywiadzie dla polskiej gazety zaproponował zwołanie szczytu *NATO* do Pragi 1998 r. i przyjęcie tam definitywnych decyzji o włączeniu Polski, Czech i Węgier do Sojuszu. „Jeżeli *NATO* się nie rozszerzy o nowe demokracje Europy Środkowej i Wschodniej – zaprzepaści historyczną okazję umocnienia zdobyczy osiągniętych dzięki zakończeniu zimnej wojny. Polityka administracji Clintona spowolnienia procesu rozszerzania grozi właśnie zmarnowaniem historycznej możliwości uczynienia Europy bardziej stabilną i bezpieczną – twierdził Dole”².

Taktycznym posunięciem Clintona była zatem deklaracja złożona 22 października 1996 r. podczas spotkania z działaczami grup etnicznych z Europy Wschodniej w Detroit. Przypierany do muru przez Republikanów prezydent zakomunikował, że będzie dążył do tego, by niektóre państwa Europy Środkowo-Wschodniej zostały przyjęte do Sojuszu nie później niż w 1999 r. Clinton zapewniał, że żadne państwo nie będzie automatycznie wykluczone. Żaden kraj spoza *NATO* nie będzie miał prawa weta³.

² „Gazeta Wyborcza” z 7 X 1996.

³ *Stichworte zur Sicherheitspolitik*. „Presse- und Informationsamt der Bundesregierung”, November 1996, ss. 44-48.

Wystąpienie to nie spotkało się na gruncie amerykańskim z większym odzewem, pomijając głosy krytyki, które zwykle odzywają się wśród przeciwników rozszerzania *NATO*. Jak pisał polski korespondent w Waszyngtonie Jacek Kalabiński pojawienie się w rosyjskiej telewizji serialu dziecięcego „Ulica Sezamkowa” większość prasy amerykańskiej uznała za ważniejsze wydarzenie międzynarodowe niż zapowiedź Clintona, że pierwsza grupa nowych państw zostanie przyjęta do *NATO* w 1999 r. Dziennik „New York Times” poinformował o deklaracji prezydenta na dalszych stronach. Z kolei dziennik „Washington Post” umieścił tę informację na stronie tytułowej, ale z komentarzem, że Clinton musiał pokazać tzw. etnicznym wyborcom, że w kwestii rozszerzenia *NATO* jest równie zaangażowany jak jego republikański oponent Bob Dole.

2. AMERYKAŃSKIE INTERESY W EUROPIE

Mimo że kampania wyborcza była uboga w akcenty międzynarodowe, to jednak trudno mówić o zmniejszeniu znaczenia polityki zagranicznej. Wybrany na drugą kadencję Bill Clinton będzie musiał zajmować się polityką zagraniczną. Stany Zjednoczone bowiem po załamaniu się Związku Radzieckiego odgrywają pod wieloma względami jeszcze bardziej niż wcześniej główną rolę w sprawach międzynarodowych. Ponadto pierwsza kadencja Clintona zweryfikowała wiele przypuszczeń i obaw, które wiązano z nową ekipą w 1992 r.

Przede wszystkim nie sprawdziły się przepowiednie, że Ameryka jest skłonna wycofać się na pozycje „neoizolacjonizmu”. Stany Zjednoczone stały się potęgą światową w jednym stuleciu, a od 50 lat i siłą dominującą. Zimna wojna umocniła to znaczenie. Po rozpadzie ZSRR znikło wprawdzie zagrożenie militarne i powody rywalizacji z czasów zimnej wojny. Nie ustało jednak tym samym przekonanie, że zaangażowanie potrzebne jest nadal. Dlatego amerykański budżet wojskowy jest prawie tak wysoki jak za czasów zimnej wojny: wynosi ponad 260 mld dol. rocznie. W istocie wielki wybór przed jakim stanęła Ameryka nie był wyborem między izolacjonizmem a zaangażowaniem, lecz dotyczył sposobu postrzegania międzynarodowych obowiązków i metod sprostania tym powinnościom.

Dlatego pytanie o perspektywy amerykańskiej polityki zagranicznej na przełomie wieków jest niezwykle ważne. Dotyczy bowiem przyszłości nie tylko Stanów Zjednoczonych, ich roli w świecie, ale także wielu państw i kontynentów. Bezpośrednio odnosi się też do stosunków amerykańsko-europejskich. Wydaje się, że rozstrzygnięcia w tej kwestii będą jednym z ważniejszych zadań rozpoczynającej się drugiej kadencji Billa Clintona w Białym Domu.

Od ponad pół wieku stosunki USA z Europą stanowiły podstawę amerykańskiej polityki zagranicznej i były celem samym w sobie. Na początku

pierwszej kadencji Clintona wydawało się, jakby administracja odwracała dotychczasową tendencję. Pojawiła się pokusa wycofania Ameryki z Europy. Relacje z Europą stawały się przybudówką dla stosunków z Rosją, podporządkowane abstrakcyjnej koncepcji multilateralizmu. Przyczyny tego leżały w charakterze nowej, rządzącej ekipy z Arkansas. W Białym Domu zasiadło pokolenie ludzi mające zupełnie inne doświadczenie historyczne, niż np. poprzedni prezydenci oraz kandydat republikański Bob Dole. Pokolenie Clintona nie pamiętało czasów II wojny światowej oraz narastania zimnej wojny. Zaledwie dojrzywało w czasach wojny wietnamskiej, której sensu nie pojmowało i z której prowadzeniem w większości się nie zgadzało. Inne było zatem ich spojrzenie na kwestię zagrożenia amerykańskich interesów. Zastępca sekretarza stanu Strobe Talbott, który od początku urzędowania Clintona określał zasady i kierował polityką wobec Rosji, tuż po zburzeniu muru berlińskiego uznał, że zagrożenie radzieckie przestaje być tym, czym było. Zdaniem Talbotta nigdy nie było zagrożenia radzieckiego i w wielkiej debacie ostatnich 40 lat to „gołębie”, a nie „jastrzębie” miały rację.

Dla nowej ekipy, decydującej o amerykańskiej strategii wobec Europy, liczyła się ona znacznie mniej niż dla poprzedniego pokolenia. Przez ostatnie pół wieku *establishment* amerykańskiej polityki zagranicznej zdominowany był przez anglosaskie ekipy polityczne wschodniego wybrzeża, czujące związki historyczne i emocjonalne z Europą i dbające o bezpieczeństwo kontynentu europejskiego. Ta generacja, pamiętająca powstanie *NATO*, wojnę w Korei i zbudowanie muru berlińskiego odchodzi. Na scenie natomiast pojawiło się pokolenie ze środka kontynentu lub wybrzeża zachodniego, tradycyjnie nastawione na Pacyfik. Dlatego uwaga Ameryki coraz wyraźniej ogniskowała się na Pacyfiku. Pojawiły się głosy o konieczności ograniczenia zaangażowania w Europie. Zakładano, że Europejczycy są gotowi przejąć większość obowiązków, wynikających z obrony kontynentu. Podczas wizyty w Niemczech w 1994 r. Clinton zachęcał Europejczyków do większej niezależności. Koncepcja ta cieszyła się znaczącym poparciem ze strony tych Amerykanów, którzy byli zainteresowani obniżeniem wydatków USA na obronę i zmniejszeniem ciężarów ponoszonych przez USA w związku z ich rolą światowego policjanta. A z coraz silniejszego chóru głosów podnoszących się na ten temat w Kongresie wynikało jasno, że Ameryka jest już zmęczona żyrowaniem w nieskończoność bezpieczeństwa Europy. Zatem mówiono, że Stany Zjednoczone akcentują raczej transpacyfizm niż transatlantyzm.

Również w Europie zadawano sobie pytanie, czy nie jest ona już wystarczająco silna, aby przez następne 50 lat podążać naprzód o własnych siłach. Europejczycy uskarżali się, że Ameryka ogranicza ich możliwości i nie pozwala wyzwolić się spod krępującego parasola ochrony. Zresztą hasła o odrębnej tożsamości obronnej Europy mają długą tradycję. Ideę tę forsował generał Charles de Gaulle w latach sześćdziesiątych, a w innych krajach z podobnymi pomysłami występowali zwolennicy lewicy. Upadek bloku wschodniego spra-

wił, że koncepcja znowu stała się aktualna: skoro nie ma już zagrożenia ze strony Związku Radzieckiego, to wsparcie USA nie jest niezbędne, Europejczycy poradzą sobie z niemal każdym kryzysem bez pomocy mocarstwa z Atlantyku.

Nic dziwnego, że początkowo wydawało się, że obie strony Atlantyku oddalają się od siebie. Europejczycy nie potrzebują już amerykańskiej kurateli, a punkt zainteresowania Stanów Zjednoczonych nie ogniskuje się już w Europie. Gdy wybuchł konflikt na Bałkanach, państwa Wspólnoty Europejskiej dały do zrozumienia, że same zajmą się kryzysem. Amerykanie odpowiedzieli: „świetnie, wasza sprawa”. Nie będziemy angażować amerykańskich chłopców, a i podatnik amerykański nie będzie ponosił kosztów interwencji Waszyngtonu w sprawę dotyczącą jedynie Europy. USA pławiąc się w sławie zwycięstwa nad Sadamem Husajnem, z zadowolenia zwróciły się do spraw wewnętrznych, do problemów domowych.

Okazało się to tragiczną pomyłką. Europejczycy poprzez swe organizacje nie byli w stanie położyć kresu wojnie na terenie byłej Jugosławii. Jeżeli nawet przyznać, że Waszyngton z początku nie odgrywał tu pomocnej roli, blokując wcześniej zawarcie układu pokojowego a zarazem wzbraniając się przed udziałem w interwencji wojskowej, smutne wyniki dowiodły, że Europa nie potrafi sama rozwiązywać swych problemów. W końcu wbrew swym wcześniejszym deklaracjom czołowi politycy europejscy zwrócili się w kierunku Ameryki w oczekiwaniu, że ta przejmie rolę przywódczą i doprowadzi do zakończenia konfliktu na Bałkanach.

Zatem administracja Clintona – wykazując dotychczas nie znaną stanowczość i determinację – zastosowała wobec Serbów opcję militarną. Z inicjatywy USA po raz pierwszy od swego powstania w 1949 r. *NATO* dokonało w sierpniu 1995 r. serię rozległych ataków lotniczych na pozycje serbskie w Bośni. Równolegle Amerykanie przedstawili stronom zaangażowanym w konflikt plan jego rozwiązania, nazwany planem Holbrooke'a (od nazwiska promującego plan w Europie podsekretarza stanu Richarda Holbrooke'a). Tak więc Stany Zjednoczone powróciły do roli przywódcy w Europie. We współdziałaniu z europejskimi sojusznikami doprowadziły do zakończenia wojny w Bośni oraz podpisania porozumienia w Dayton. Gdyby jednak Amerykanie zdecydowali się działać kilka lat wcześniej, można by uratować ćwierć miliona ludzi.

„Jeśli z historii tego stulecia wypływa jakaś lekcja to sprowadza się ona do tego, że gdy Europa i Stany Zjednoczone zaczynają podążać odrębnymi drogami, to wszyscy płacimy za to straszłą cenę”. Trudno nie zgodzić się z opinią wyrażoną przez szefa Połączonego Kolegium generała Johna Shalika-shvili. Trzykrotnie w ciągu tego stulecia Stany Zjednoczone musiały odegrać w Europie ważną rolę. Trzykrotnie wycofały się, gdy niebezpieczeństwo minęło, co okazało się fatalnym błędem. Wycofały się po I wojnie światowej, a przez to przyczyniły się do rozwoju tak katastrofalnej sytuacji, która doprowadziła do

II wojny światowej. Po 1945 r. również Amerykanie zaczęli wycofywać się, dwa lata później, w roku 1947, musieli wrócić, aby stawić czoło zagrożeniu komunistycznemu. Wreszcie pod koniec zimnej wojny dała się odczuć ta sama pokusa pozostawienia Europy samej sobie.

Wielka lekcja Jugosławii pokazała jednak, że Europa i Ameryka wciąż potrzebują się nawzajem, aby pokonać kryzysy ujawniające się w okresie pozimnowojennym. Wydaje się, że prezydent Clinton i jego najbliżsi współpracownicy są obecnie bardziej świadomi tego faktu, niż byli w okresie pierwszej kadencji urzędowania w Białym Domu. S. Talbott napisał w „Foreign Affairs” bardzo trafnie: „To, czy inne kraje dobrze czy źle się rządzą, w coraz większym stopniu wpływa na interesy Amerykanów. Im szersza i bardziej zwarta społeczność narodów, które wybrały demokratyczną formę rządów, tym Amerykanie będą bezpieczniejsi (...). W wypadku państw demokratycznych większe jest prawdopodobieństwo dotrzymania przez nie zobowiązań, a mniejsze uprawianie przez nie terroryzmu (...) oraz mniejsze prawdopodobieństwo wojen między nimi”⁴.

Ameryka posiada interesy w całym świecie. Nie może zatem przekształcić się w jakąś super Japonię, z wyłącznie ekonomicznymi celami. Jeśli Stany Zjednoczone wycofują się z jakiegoś regionu, powoduje to próżnię polityczną i w konsekwencji chaos. Konieczne jest akcentowanie amerykańskiej obecności militarnej i dyplomatycznej. Ze względu na siłę, jaką reprezentują USA, a także na ich globalne interesy, błędem byłoby odwracanie się tyłem do reszty świata. Amerykanie nie byli w Europie wyłącznie jako przeciwwaga dla radzieckiej hegemonii. Byli – i są nadal – aby gwarantować zachowanie równowagi w tym regionie. R. Holbrooke stwierdza:

„Jesteśmy tu [w Europie – przyp. J. K.], by gwarantować stabilność w jednym z najbardziej podatnych na konflikty miejsc na świecie (...). Jest to region, w którym dziedzictwo traktatu wersalskiego wciąż jeszcze ma destrukcyjny wpływ. Ognisk napięć jest wiele: między Węgrami a Słowacją, Węgrami a Rumunią, Grecją a Macedonią, Grecją a Turcją, może nawet między Włochami a Słowenią i przede wszystkim na terenie byłej Jugosławii. Wszystkie te problemy mogą prowadzić do wojny. Nie licząc tego, co może się zdarzyć na peryferiach Rosji. Z tego punktu widzenia okres, który obecnie przeżywamy, jest równie ważny jak czas po zakończeniu II wojny światowej” – dodaje amerykański polityk⁵.

Trudno nie zgodzić się ze stwierdzeniem Holbrooke’a. Stany Zjednoczone nadal zapewniają Europie poczucie bezpieczeństwa i przyczyniają się w ten sposób do stabilizacji na kontynencie. Natomiast z dużym sceptycyzmem należy podchodzić do uparcie powtarzanych przez Europejczyków, zwłaszcza nad

⁴ S. Talbott, *Democracy and the National Interest*. „Foreign Affairs”, November/December 1996, ss. 48-49.

⁵ „Le Nouvel Observateur” z 10 IV 1996.

Sekwaną, sugestii o wspólnej tożsamości obronnej Europy. Trudno bowiem wyobrazić sobie, że instytucja, skupiająca kraje od Portugalii po Finlandię, od Irlandii po Grecję (Unia Zachodnioeuropejska) będzie miała jednakowy punkt widzenia na kwestie obrony. Wiele z tych krajów ma własne interesy strategiczne. Czy są one gotowe podporządkować się wspólnej polityce? Czy mogą mieć jednakową wolę? Wydaje się, że są to w dużej mierze pytania retoryczne. Bez przywództwa Stanów Zjednoczonych nominalnie równorzędni partnerzy przewodzący Europie – Wielka Brytania, Francja i Niemcy – nie są w stanie uzgodnić wspólnych stanowisk w zakresie polityki obronnej, co prowadzi do bezczynności. Tak było w przypadku Bośni. Poza tym w obliczu silnych, zjednoczonych Niemiec w centrum Europy dobrze mieć jako przeciwwagę Stany Zjednoczone.

Zainteresowanie Stanów Zjednoczonych kontynentem europejskim wynikać będzie i z tego, że *NATO* pozostaje dla wielu amerykańskich strategów taką samą świętością, jak dla polityków europejskich. Od blisko 50 lat *NATO* jest filarem amerykańskiej obecności w Europie, a także podstawą polityki globalnej USA. Wprawdzie w okresie pierwszej kadencji urzędowania Clintona w Białym Domu nie ustawały głosy, wychodzące także z kręgów administracji prezydenckiej, wedle których Sojusz to anachronizm. Stawiano tezę, że *NATO* przestało być potrzebne, gdyż zarówno Rosja, jak i Niemcy nie stanowią już zagrożenia dla pokoju. A wiadomo, że Pakt Północnoatlantycki powstał m.in. po to, aby trzymać Rosjan na dystans (*out*), a Niemców w ryzach (*down*).

Jednak po pewnym czasie planiści w Waszyngtonie doszli do wniosku, że Pakt pozostaje jedyną sprawdzoną gwarancją bezpieczeństwa w nadal niepewnych czasach. Ta niepewność, np. co do przyszłości Rosji jest jednym z czynników, który amerykański *establishment* polityczny bierze pod uwagę. Przydatność *NATO* uznał także S. Talbott, uchodzący początkowo za wielkiego sceptyka co do znaczenia Sojuszu. Jego zdaniem z różnych kierunków może nadejść zagrożenie. Doświadczenie wojny w Zatoce Perskiej wykazało, że musi istnieć zdolność przeprowadzenia operacji „poza własnym terenem” i zdolność kolektywnego podejmowania decyzji. Wraz z innymi organizacjami międzynarodowymi *NATO* stanowi realną siłę militarną. Podobnie jak poszczególne państwa utrzymują czynną armię w czasie pokoju, tak społeczność atlantycka potrzebuje *NATO*. Dlatego pozostaje ono w centrum europejskiego systemu bezpieczeństwa.

Ponownie najlepszym potwierdzeniem tej tezy była wojna w Bośni. Okazało się, że działanie w konfliktach zbrojnych poprzez inne niż *NATO* struktury (Unia Europejska, OBWE, ONZ) jest mało skuteczne. Zresztą perspektywa przejęcia przez ociążały organizm OBWE militarnej odpowiedzialności od Atlantyku po Ural przerażała od początku większość polityków USA. Przypominali oni, że Rosji zawsze zależało na skutecznej neutralizacji

paktów zachodnich pod przykrywką paneuropejskiego systemu bezpieczeństwa. Wielu też słusznie powątpiewało w skuteczność organizacji, która nie ma władzy wykonawczej i siły wojskowej, i w której istnieje ścisły wymóg jednomyślności. W teorii więc mała Malta, a nawet słaba republika poradziecka może swoim wetem zablokować decyzje cieszące się poparciem pozostałych państw. Tak stało się podczas konferencji OBWE w Lizbonie w grudniu 1996 r., gdy sprzeciw m.in. Białorusi uniemożliwił przyjęcie w pełnej wersji oświadczenia końcowego, potępiającego łamanie demokracji przez prezydenta Aleksandra Łukaszenkę.

Także wyrażana na kontynencie europejskim wola budowy odrębnej tożsamości obronnej, niezależnej od USA, jest wbrew realiom wojskowym. Z tego czysto praktycznego punktu widzenia Europa niewiele może uczynić sama. Brak jej odpowiedniej infrastruktury logistycznej – łączność, wywiad, transport lotniczy, to tylko kilka przykładów kluczowych dziedzin, w których brak taki występuje. Dyskusja w sprawie przedłużenia mandatu sił wojskowych, stacjonujących na Bałkanach, prowadzona na początku listopada 1996 r., udowodniła – przynajmniej *implicite* – pewien podstawowy fakt. Europejczycy nie są zdolni do utrzymania na tym obszarze wojsk bez udziału USA. Za pośrednictwem *NATO* siły amerykańskie zapewniają strukturę dowodzenia – łączność, logistykę, hierarchię dowódczą – niezbędne dla utrzymania misji tego rodzaju. Dublowanie potencjału USA wymagałoby według skromnych szacowań dodatkowych wydatków w następnym dziesięcioleciu wynoszących 100 mld dol. Jest to ogromna suma, której nikt nie chce wyłożyć. Wydatek taki jest tym bardziej nierealny, że kraje europejskie przeprowadzają gorączkowe cięcia budżetowe, by spełnić ustalone w Maastricht kryteria przystąpienia do unii walutowej.

Tak więc niezależnie od wszystkich ambicji Unii Europejskiej w sprawie wspólnej polityki zagranicznej i wspólnej polityki bezpieczeństwa, korzystna jest amerykańska obecność w Europie, wyrażona m.in. liczbą 100 tys. żołnierzy *US Army* stacjonujących na kontynencie w ramach wojsk *NATO*. A wszelkie wypowiedzi o odrębności obronnej Europy, padające z ust przywódców Francji, czy nawet Niemiec (na początku listopada 1996 r. Klaus Kinkel deklarował, że Europa winna uzyskać odrębną tożsamość obronną), są wielce kuszące, brzmią wzniośle, i przede wszystkim nic nie kosztują. Mogą jednak irytować Amerykanów. Część amerykańskiej opinii publicznej bynajmniej nie należy przekonywać, że USA powinny trzymać się z dala od spraw europejskich. Przeciwnie – trzeba ją przekonywać, że Ameryka powinna się w te sprawy angażować.

Można przewidzieć, że wśród priorytetów europejskiej polityki Stanów Zjednoczonych znajdują się nierozstrzygnięte jeszcze kwestie przekształcenia *NATO*, otwarcia Sojuszu na Wschód oraz włączenia Rosji do kształtującej się architektury bezpieczeństwa w Europie.

3. POTRZEBA ZREFORMOWANIA NATO

Zadanie, które stoi przed administracją Clintona, to kontynuacja procesu reformowania NATO. Wraz ze zniknięciem bezpośredniego zagrożenia ze Wschodu nastąpiła konieczność ponownego zdefiniowania charakteru i zadań Sojuszu, dostosowania go do wymogów ery pozimnowojennej. Zintegrowane przymierze bez wroga ma również mało sensu jako sojusz, który dzieli pokojową Europę na dwie części. Ponadto „ewolucja Sojuszu powinna odzwierciedlać transformację Europy jako takiej” – trafnie zauważył S. Talbott⁶.

Wyzwaniem dla Sojuszu jest także wzrost ambicji Europy. Konieczne będzie bardziej równomierne rozłożenie ciężarów, a także mimo wszystko znaczniejsze dopuszczenie Europejczyków do struktur dowodzenia, choć nie wydaje się możliwe, że administracja Clintona zgodzi się na francuską formułę reformy Sojuszu. Francuzi, którzy w zamian za zgodę Amerykanów na reformę, powrócili po 30 latach do struktur wojskowych Paktu, upierają się przy swoich żądaniach⁷. Chcieliby między innymi – co nie wywołuje entuzjazmu USA – by dowódca zjednoczonych sił zbrojnych w Europie miał Francuza jako zastępcę. Generał ten miałby automatycznie dowodzić powstającymi właśnie w NATO małymi, prężnymi i mobilnymi Połączonymi Siłami Szybkiego Reagowania (CJTF). Samo powstanie CJTF jest wyrazem uwalniania się Stanów Zjednoczonych od obowiązku uczestniczenia we wszystkich akcjach NATO. Nowa formuła pozwala bowiem na wykorzystanie sprzętu Sojuszu w operacjach, w których USA nie chcą brać udziału. W teorii więc Europa mogłaby zapewnić sobie bezpieczeństwo, nie płacąc za to. Ale w praktyce byłoby zupełnie inaczej. Trudno wyobrazić sobie, że Kongres USA zgodzi się na użytkowanie amerykańskiego sprzętu bez możliwości wpływu na to, jak ten sprzęt zostanie użyty.

Jest mało prawdopodobne, że Stany Zjednoczone pójdą na ustępstwa w zakresie zmiany struktury dowodzenia NATO. Rzecz idzie przecież także o dowództwo południowej flanki NATO z siedzibą w Neapolu. Czy można sobie wyobrazić sytuację, że na przykład Włosi lub Francuzi będą dowodzili VI Flotą USA? Bliższy realizacji będzie wariant rozwiązań „elastycznych”, np. tworzenia sztabów dowodzących CJTF *ad hoc*, czyli do konkretnej operacji.

W zakresie reformy NATO administracja Clintona postępować więc będzie bardzo ostrożnie, w obawie, aby nieopatrzne decyzje nie pozbawiły Stanów Zjednoczonych przywódczej roli w Europie. Preferowane będzie podejście według zasady „spiesz się powoli”. Amerykanie zgodzą się też na umocnienie

⁶ „Polityka” z 12 VIII 1995.

⁷ Warto podkreślić, że głównym powodem powrotu Francji do zintegrowanych struktur NATO był fakt zjednoczenia Niemiec. Paryż uznał wówczas, że musi porzucić marzenia o przejęciu kierowniczej roli w europejskiej polityce.

Unii Zachodnioeuropejskiej, europejskiego filaru *NATO*, jednak pod warunkiem, że UZE nie stanie się substytutem Paktu Północnoatlantyckiego. Może być jedynie ważnym instrumentem budowy współpracy europejskiej w dziedzinie bezpieczeństwa i obrony. UZE może też współuczestniczyć w rozbudowie więzi bezpieczeństwa z Europą Wschodnią. Amerykanie będą jednak sprzeciwiali się francuskiej koncepcji uczynienia z UZE w pełni niezależnego od *NATO* instrumentu obrony, dublującego lub zastępującego Pakt Północnoatlantycki.

To co należałoby zrobić po europejskiej stronie, to działać na rzecz stworzenia systemu sprawiedliwego podziału obciążeń wewnątrz *NATO*. Jeśli Europa nie zwiększy swego udziału, będzie miała do czynienia z coraz silniejszym sprzeciwem Kongresu USA w sprawie amerykańskiego wkładu w obronę Starego Kontynentu. Administracji Clintona trudno będzie przełamać opór Kongresu, który co dwa lata poddawany jest weryfikacji wyborczej i dlatego pilnie strzeże interesów amerykańskiego podatnika. Zdominowany przez Republikanów Senat może stawiać demokratycznej administracji przeszkody. Zresztą także Clinton niebywale silnie podporządkowuje politykę zagraniczną wymogom sytuacji wewnętrznej. Jest to – jak trafnie ujął Henry Kissinger – „polityka wewnętrzna, wyniesiona do rangi polityki zagranicznej, lub polityka zagraniczna w służbie polityki wewnętrznej”⁸. Gdyby zbyt wysokie nakłady na obronę Europy miały zaważyć na wizerunku urzędującego prezydenta, Clinton wycofa się. Wprawdzie wydaje się, że administracja posiadała świadomość ścisłego powiązania amerykańskich i europejskich interesów obronnych, ale dobrze byłoby, aby więzi transatlantyckie wolne były od zadrażnień.

Prawdziwym wyzwaniem dla dyplomacji amerykańskiej na przełomie wieków będzie rozwiązanie dwu ważnych i wzajemnie ze sobą powiązanych problemów: rozszerzenia *NATO* i ułożenia stosunków Zachodu z Rosją. Pozytywne rozstrzygnięcie tych kwestii będzie świadczyło o tym, że Sojusz Północnoatlantycki nie jest już tylko pozostałością po zimnej wojnie i nie dzieli już pokojowej Europy na dwie części. Rozstrzygnięcia te mogą okazać się największym osiągnięciem prezydentury Billa Clintona, potwierdzeniem, że wbrew wcześniejszym przykładom, jest on gotowy wskrziesić niegdyś niewyczerpaną skłonność Ameryki do stawiania czoła nowym wyzwaniom. Podobnie jak ukoronowaniem kadencji prezydenta Busha stało się przewyciężenie obiekcji ZSRR wobec włączenia zjednoczonych Niemiec do *NATO*, tak głównym dziedzictwem Clintona w sprawach zagranicznych mogłoby być włączenie Europy Środkowej do Sojuszu. Tak, aby działać w imię zasady najlepiej wyrażonej przez Abrahama Lincolna: „Dogmaty spokojnej przeszłości nie pasują do burzliwego dnia dzisiejszego (...), musimy po nowemu myśleć, po nowemu działać”. Wydaje się, że druga i równocześnie ostatnia kadencja

⁸ „Le Figaro” z 7 XI 1996.

Clintona w Białym Domu jest doskonałą okazją, aby dokonać czegoś przełomowego na arenie międzynarodowej.

W sprawie otwarcia *NATO* na Wschód administracja Clintona uczyniła już i tak niebywały postęp, biorąc pod uwagę pierwsze wypowiedzi urzędników Białego Domu w 1993 r., gdy to kategorycznie stwierdzano, że rozszerzenie Paktu nie jest na porządku dnia. Ewolucja stanowiska USA przebiegała dość wolno. Po drodze były meandry zachowań jednego z głównych architektów amerykańskiej polityki wobec Europy – Talbotta, początkowo zawziętego przeciwnika ekspansji *NATO* na Wschód. Dopiero w drugiej połowie 1995 r. zastępca sekretarza stanu opublikował na łamach „New York Review of Books” obszerny esej, w którym przedstawił argumenty na rzecz otwarcia *NATO*. Polemizując ze swymi poprzednimi poglądami Talbott dowodził, że w interesie demokratycznej Rosji leży rozszerzenie przez *NATO* „strefy politycznej stabilności na Europę Środkową, choćby dlatego, że dwukrotnie w tym stuleciu, w dwóch wojnach światowych, Rosja ucierpiała z powodu niestabilności tego regionu”⁹. Jeszcze w styczniu 1996 r. wysoki urzędnik Departamentu Stanu Sandy Versbow zapytany o rozszerzenie *NATO* powiedział: „na następnym spotkaniu *NATO* w grudniu (1996 r. – przyp. J. K.) ministrowie dokonają przeglądu dotychczasowego postępu i zdecydują, jakie mają być następne kroki (...). Nie chciałbym jednak przepowiadać, że konferencja ministerialna w grudniu podejmie decyzje, co stanie się następnie”¹⁰. Obietnica Clintona z października 1996 r., że pierwsza faza rozszerzenia nastąpi w ciągu najbliższych trzech lat świadczyła zatem o tym, jak wielki krok uczyniono w tej kwestii.

Wielu obserwatorów przypuszczało jednak, że wypowiedź prezydenta podyktowana jest względami kampanii wyborczej i może okazać się jednym z wielu niezrealizowanych haseł wyborczych. Tym bardziej, że reakcja przeciwników rozszerzenia *NATO* była natychmiastowa. Podnoszono znane już argumenty, że przyjęcie nowych członków do *NATO* utrudni utrzymanie spójności organizacyjnej 16 państw. Zamiast zlikwidować próżnię bezpieczeństwa w Europie, będzie się tę próżnię pchało przed siebie. Może wreszcie zirytować Rosję i utrudnić budowę demokracji w tym atomowym mocarstwie. Proces rozszerzania *NATO* „powoduje różnice zdań między członkami Paktu, zaostrza antagonizmy Rosji i budzi niezadowolenie tych krajów kandydujących do *NATO*, które mogą zostać w tym procesie pominięte. W końcowym efekcie doprowadzi to do utraty sił i znaczenia Sojuszu” – reasumował zagrożenia Frederick Bonnart, redaktor specjalistycznego czasopisma natowskiego „Nato’s Sixteen Nations”¹¹. „Rozszerzenie *NATO* będzie paliwem

⁹ „New York Review of Books” z 10 VIII 1995.

¹⁰ „Gazeta Wyborcza” z 16 II 1996.

¹¹ „International Herald Tribune” z 25 X 1996.

podsycającym w Rosji defensywny nacjonalizm i sprzeciw wobec kontroli zbrojeń – co nie umocni, lecz osłabi bezpieczeństwo Europy” – czytamy w komentarzu redakcyjnym „New York Timesa”¹².

Mimo tego można pokusić się o stwierdzenie, że obietnica Clintona, uczyniona w Detroit, choć początkowo takie mogła stwarzać wrażenie, nie była tylko elementem jego kampanii wyborczej. Potwierdził to Talbott w rozmowie z Janem Nowakiem-Jeziorańskim, przeprowadzonej już po zwycięstwie wyborczym urzędującego prezydenta. Zastępca sekretarza stanu zapewnił, że rozszerzenie *NATO* wiąże się ze „strategią i celami amerykańskiej polityki zagranicznej XXI wieku”, gdyż prezydent uznał, że „nie tylko dla narodów Europy Środkowej i nie tylko dla Zachodu i Stanów Zjednoczonych, ale i dla wszystkich narodów nowej Europy, ba nawet Eurazji, jest sprawą zasadniczej wagi, by zarówno misja, jak i kształt *NATO*, jako jednej z najważniejszych instytucji tego rejonu, odzwierciedlały nową rzeczywistość, nowe możliwości i nowe wyzwania”¹³. Podobne zapewnienia padały z ust innych wysokich urzędników Białego Domu, a także ze strony ekspertów i obserwatorów amerykańskiej sceny politycznej. Ronald Asmus z renomowanego instytutu *Rand Corporation* podczas wizyty w Warszawie pod koniec listopada 1996 r. zapewniał, że Clinton poważnie traktuje swą obietnicę z Detroit. Prezydent potwierdził to w swym tradycyjnym orędziu o stanie państwa, wygłoszonym 5 lutego 1997 r. na forum Kongresu. Clinton powtórzył, że do 1999 r. *NATO* zostanie rozszerzone o nowe państwa.

Tak więc nie ma wątpliwości co do tego, że rozszerzenie *NATO* jest już sprawą przesądzoną. Amerykanie uznali, że należy przyjąć nowych członków, zarówno po to, aby umocnić bezpieczeństwo Europy (ważną sprawą okazało się zapewnienie Niemcom buforu dzielącego ich od Rosji), jak i po to, by nagrodzić Europę Środkową i Wschodnią za odrzucenie komunizmu. Przyznano także, że rozszerzenie Sojuszu jest niezbędnym elementem jego transformacji. Wreszcie Ameryka podjęła decyzję o rozszerzeniu, gdyż inaczej *NATO* – a tym samym i wpływy Waszyngtonu w Europie – byłoby zagrożone.

To nagle przyspieszenie przez administrację Clintona procesu rozszerzania *NATO* zaskoczyło nawet europejskich sojuszników Waszyngtonu. Dotychczas bowiem to oni, zwłaszcza Niemcy, forsowali hasło otwarcia Paktu na Wschód, trochę na wyrost i w przekonaniu, że nic im nie grozi, bo Amerykanie i tak zastopują ten proces. Tymczasem administracja poszła za ciosem. Między innymi dlatego, że takie działanie dyktowały badania opinii publicznej. Według sondażu przeprowadzonego w dniach 14-20 września 1996 r. (a więc kilka tygodni przed wyborami) w ramach programu badania stosunku społeczeństwa do polityki zagranicznej realizowanego na Uniwersytecie stanu Maryland

¹² „New York Times” z 26-27 X 1996.

¹³ „Gazeta Wyborcza” z 4 XII 1996.

aż 62% ankietowanych opowiedziało się za włączeniem Polski, Czech i Węgier do *NATO*. Przeciwnych temu było 29%. Z badań wynikało ponadto, że stosunek do rozszerzenia *NATO* praktycznie nie zależy od przynależności partyjnej, zarówno wśród Demokratów, jak i Republikanów odsetek zwolenników ekspansji *NATO* na Wschód jest prawie taki sam (odpowiednio – 64 i 60%)¹⁴. Jak zwykle Clinton umiejętnie odczytał nastroje opinii publicznej, w czym – jak zdążył wykazać – jest mistrzem. Być może poczuł się tak, jak Harry Truman, gdy z jego inicjatywy Stany Zjednoczone podejmowały 50 lat temu historyczne decyzje dotyczące doktryny powstrzymywania, planu Marshalla i *NATO*.

Realizacji procesu rozszerzania *NATO* służyć będą niewątpliwie zmiany personalne w administracji Clintona, zapowiedziane po jego reelekcji: odejście dotychczasowego sekretarza stanu Warrena Christophera i mianowanie szefem Departamentu Stanu Madeleine Albright. Christopher był najbardziej pracowitym sekretarzem stanu od czasu George'a Shultza. Przemierzył samolotem setki tysięcy kilometrów. W październiku 1996 r., lecąc z Mali do Etiopii, pobił rekord odległości przebytej przez szefa dyplomacji USA w ciągu czterech lat urzędowania. Jako sekretarz stanu przebył 1 mln 155 tys. 350 km, czyli doleciał na Księżyc, wrócił z powrotem na Ziemię, a następnie ponownie zbliżył się do Księżyca. Jednak nie w przebytych odległościach wyrażają się sukcesy szefa dyplomacji. Właściwie, mimo niebywałej pracowitości, Christopher nie mógł poszczycić się spektakularnymi sukcesami. Nawet pokój w Bośni nie był jego osiągnięciem, ale podległego mu urzędnika Richarda Holbrooke'a.

Szef Departamentu Stanu za pierwszej kadencji Clintona był niewątpliwie doświadczonym prawnikiem i dyplomata, ale wykazywał skłonność raczej do reagowania na wydarzenia niż do działań innowacyjnych. Nie miał nowej wizji roli USA w stosunkach transatlantyckich ani odwagi w podejmowaniu wyzwań. Choć przecież należał do pokolenia, które tak jak Henry Kissinger potrafiło wykreować cele i zadania strategiczne. Był jedynie realizatorem polityki, a nie jej kreatorem. Zabrakło mu stanowczości i siły perswazji, charakterystycznych dla wielu poprzednich sekretarzy stanu i tak przydatnych w stosunkach nawet z zachodnioeuropejskimi sojusznikami.

Zachód był zaszokowany postawą Christophera w czasie jego pierwszej podróży po Europie w maju 1993 r., gdy to sekretarz stanu USA próbował „sprzedać” sojusznikom plan w sprawie Bośni¹⁵. Szef amerykańskiej dyplomacji zachował się jak posłaniec z informacją, a nie decydent. Nic dziwnego, że Europejczycy odrzucili plan, co Christopher potulnie przyjął do wiadomości.

¹⁴ „Gazeta Wyborcza” z 15 X 1996.

¹⁵ Plan wyrażający się w formule „znieść i uderzyć” zakładał zniesienie embarga na dostarczenie broni rządowi bośniackiemu oraz uderzenie lotnicze na pozycje serbskie.

Takiej postawy z pewnością nie będzie można spodziewać się po Madeleine Albright, dotychczasowym ambasadorze Stanów Zjednoczonych przy ONZ, nie bez powodu zwanej jastrzębiem w spódnicy. Na forum ONZ M. Albright potrafiła z przekonaniem i skutecznie bronić globalnych interesów amerykańskich. Ale przede wszystkim ta córka czeskiego dyplomaty rozumie istotę aspiracji państw, leżących kiedyś w radzieckiej sferze wpływów. To właśnie w obawie przed komunizmem jej rodzina zdecydowała się w 1948 r. pozostać na emigracji. M. Albright głosi pogląd, że amerykańska polityka wobec Europy Środkowej nie musi być funkcją stosunków między Waszyngtonem a Moskwą. Należy uwzględniać w amerykańskich kalkulacjach dążenia i obawy Europy Środkowej. Dlatego deklaruje się od dawna jako gorąca rzeczniczka przyjęcia państw tego regionu do *NATO*. Będąc pierwszą kobietą na stanowisku szefa amerykańskiej dyplomacji z pewnością zechce w sposób spektakularny zaznaczyć swe urzędowanie. Finalizacja rozszerzenia *NATO* może być doskonałą do tego okazją.

Podobnie pozytywnie ocenić należy powołanie w miejsce dotychczasowego sekretarza obrony, byłego republikańskiego senatora Williama Cohena. Wprawdzie William Perry jako szef Pentagonu deklarował poparcie dla idei rozszerzenia Sojuszu, to jednak ta nowa nominacja może wyrzucić bardzo pozytywny wpływ na realizację procesu przyjmowania nowych państw do *NATO*. Cohen będąc długoletnim członkiem senackiej komisji sił zbrojnych popierał reaganowski program rozbudowy amerykańskich sił zbrojnych. Uważał, że mimo zakończenia zimnej wojny Ameryka musi kontynuować swą misję policjanta świata i konieczne jest utrzymanie amerykańskiej gotowości do interwencji zbrojnej w różnych zakątkach świata. Z większym sceptycyzmem niż wielu innych członków administracji Clintona podchodzi do pokojowych zamiarów Rosji. Można zatem spodziewać się, że w kwestii rozszerzenia *NATO* nowy szef Pentagonu nie będzie zwolennikiem uwzględniania rosyjskiego „niet”.

Nowe nominacje w administracji Clintona mogą mieć zatem korzystny wpływ na realizację programu otwarcia Sojuszu. Nie znaczy to jeszcze, że tempo, czas, warunki i efekt końcowy procesu rozszerzania *NATO* są już przesądzone. Trzeba bowiem brać pod uwagę dwa aspekty procesu. Jeden – można go nazwać wewnętrznym – dotyczyć będzie realizacji samej procedury przyjmowania nowych członków, czyli negocjacji między kandydatami a Szesnastką. Drugi – dotyczyć będzie warunków zewnętrznych – po zakończeniu negocjacji projekt ustawy o ratyfikacji trafi pod obrady parlamentów państw członkowskich *NATO*.

W pierwszym przypadku kolosalne znaczenie ma deklaracja przyjęta podczas spotkania ministrów spraw zagranicznych Szesnastki w Brukseli 10 grudnia 1996 r. Stwierdzono w niej, że podczas szczytu *NATO*, który odbędzie się w dniach 8-9 lipca 1997 r. w Madrycie rozpocznie się proces

przyjmowania nowych członków. Jego zakończenie nastąpi w 1999 r., w pięćdziesiątą rocznicę powstania Sojuszu. Jubileusz ten powinien stać się okazją do powitania nowych członków – mówił w ostatnim już wystąpieniu na forum NATO ustępujący sekretarz stanu Warren Christopher. Wśród państw, które w lipcu 1997 r. zostaną zaproszone do negocjacji, znajdzie się z pewnością Polska. Można więc powiedzieć, że w kwestii rozszerzenia NATO kłamka zapadła.

Pozostaje jednak do rozstrzygnięcia wiele problemów, które tylko w pewnym stopniu zależne są od woli i możliwości Stanów Zjednoczonych. W dużej mierze poza sferą wpływów amerykańskich jest stopień przygotowania poszczególnych państw do uczestnictwa w NATO. Jednak ocena tego będzie zależała także od Amerykanów. Mogą oni mieć w tej sprawie głos decydujący. Nie bez powodu na grudniowym posiedzeniu Rady Ministrów NATO w Brukseli postanowiono opracować specjalny raport na temat stanu przygotowań armii i administracji poszczególnych kandydatów do członkostwa. Jego wyniki pozwolą na selekcję kandydatów. Można spodziewać się, że selekcja ta będzie bardzo wnikliwa. Administracja Clintona musi bowiem liczyć się z rosnącą liczbą przeciwników idei ekspansji NATO. Wykorzystają oni każdą sposobność, aby dowieść, że anachroniczny, posowiecki arsenał wojskowy Polski lub Czech może być zagrożeniem dla spójności Sojuszu i jego technologicznej siły. Każdy argument może być dobry, aby podważyć zasadność rozszerzania Paktu. Już decyzja podjęta w Brukseli zaktywizowała przeciwników rozszerzenia, którzy swymi artykułami zalali łamy amerykańskich gazet.

Mówi się w nich więc między innymi o braku cywilnej kontroli nad armią w państwach dawnego Układu Warszawskiego. Jeffrey Simon, czołowy specjalista Departamentu Obrony, autor przygotowywanej do druku pracy na temat relacji między wojskiem a społeczeństwem w Europie Środkowej, twierdzi, że najsłabszym punktem np. polskiego systemu cywilnej kontroli jest brak konstytucji. Jego zdaniem niedostateczna jest też we wszystkich nowych demokracjach Europy Środkowej parlamentarna kontrola nad budżetem MON. Potrzebny jest również system rotacji wyższych stanowisk dowódczych w armii. W USA szef Połączonego Kolegium (odpowiednik polskiego szefa Sztabu Generalnego) zmienia się co cztery lata. Z pewnością podjęte w Polsce działania na rzecz zwiększenia zależności Sztabu Generalnego od Ministerstwa Obrony idą w dobrym kierunku i mogą przyczynić się do osłabienia argumentów przeciwnych rozszerzeniu NATO.

W publicznej debacie na temat ekspansji Sojuszu, do której już szykują się waszyngtońscy politolodzy i politycy, mówić się będzie też o kosztach rozszerzenia Paktu. Tak naprawdę w tej dyskusji chodzić będzie głównie o pieniądze. Na początku 1996 r. Biuro Budżetowe Kongresu opublikowało raport, w którym koszty rozszerzenia NATO oceniono na 60-125 mld dol. w ciągu 10 lat. Stany Zjednoczone miałyby ponieść co najmniej jedną dziesiątą

tych wydatków¹⁶. Jest to dość duża suma, która może działać na wyobraźnię amerykańskiego podatnika. Nic dziwnego, że zwolennicy otwarcia Sojuszu podważyli ustalenia raportu. Niezależni eksperci *Rand Corporation*, w tym R. Asmus, zarzucili analitykom Kongresu przyjęcie wersji całkowitego przemieszczenia sił Sojuszu na Wschód i tym samym zawyżenie danych.

Tymczasem w opinii ekspertów z *Rand Corporation* istnieje kilka wariantów rozszerzenia *NATO*, każdy o różnych kosztorysach. Najbardziej optymalny, tzw. wysuniętej obecności zakłada m.in. powiększenie zdolności przetrwania sił *NATO* na Wschód w razie potrzeby (bez konieczności stałego przemieszczenia), a ponadto pomoc przy modernizacji sił militarnych nowych członków (ich własny udział wyniosłby około 19% z 42 mld dol.). Według obliczeń *Rand Corporation* roczny koszt budowy szkieletu logistyki *NATO* w Polsce, Czechach, na Węgrzech i w Słowacji wyniosłby około 5 mld dol., z czego USA miałyby pokryć połowę. Jest to suma równa jednemu procentowi budżetu Pentagonu. Z badań *Carnegie Endowment* wynika z kolei, że Kongres USA nie będzie miał kłopotów z przeznaczaniem co roku około 1 mld dol. na rozszerzenie *NATO*¹⁷.

Wszystko to nie zmienia faktu, że państwa ubiegające się o członkostwo w Sojuszu muszą uwzględnić w swych budżetach wzrost nakładów na wojsko. Już teraz dyplomaci amerykańscy starają się przekonać rządy krajów kandydujących o konieczności zwiększenia budżetów wojskowych. Podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych we wrześniu 1996 r. premier Czech Vaclav Klaus usłyszał w Departamencie Stanu, że jest dziwne utrzymanie wydatków obronnych w przyszłorocznym budżecie na niezmiennym poziomie (przy wzroście całych wydatków budżetowych o ponad 18%). Naciski takie z pewnością będą się nasilały. Rzecz idzie o to, aby amerykański podatnik nie musiał ponad miarę ponosić kosztów procesów rozszerzania Paktu, i aby przeciwnikom tego procesu wytrącić główne argumenty.

Z głosami oponentów administracja będzie musiała się liczyć w takim stopniu, w jakim zdołają oni pozyskać amerykańską opinię publiczną, a poprzez nią wpłynąć na Kongres USA. Dziś można przyjąć, że przeciętny Amerykanin jest za ekspansją *NATO*. Gdy w grę wchodzi koszty związane z przyjmowaniem nowych członków do *NATO*, okazuje się, że 44% ankietowanych jest przeciwnych rozszerzeniu Paktu, jeśli USA będą musiały wydać na ten cel 1 mld dol. rocznie lub więcej. Jednocześnie 46% uznało tę sumę możliwą do przyjęcia¹⁸.

Z drugiej strony sondaże wykazują, że Amerykanie nie są przekonani o konieczności angażowania amerykańskich żołnierzy w przypadku zagrożenia

¹⁶ „Economist” z 3 VIII 1996.

¹⁷ „Economist” z 3 VIII 1996; „Gazeta Wyborcza” z 7-8 IX, 23 X 1996.

¹⁸ „Gazeta Wyborcza” z 15 X 1996.

ewentualnych nowych członków *NATO* (a takie zobowiązanie wynika z art. 5 traktatu waszyngtońskiego). Jedynie 32% badanych poparłoby interwencję Stanów Zjednoczonych w wypadku napaści Rosji na Polskę. Ale ponad 50% byłoby za użyciem amerykańskich sił zbrojnych w wypadku napaści Rosji na Europę Zachodnią, czy Iraku na Arabię Saudyjską – odpowiednio 54% i 52%. Amerykanie niewiele też wiedzą o samym procesie rozszerzania Sojuszu, 7% Amerykanów słyszało o tym „bardzo dużo”, aż 38% „nie słyszało na ten temat nic”. Ponadto aż 23% badanych było przekonanych, że *NATO* jest już rozszerzone – i to o Rosję¹⁹. Wyniki te dowodzą, że istnieje konieczność oddziaływania zarówno na zwolenników, jak i oponentów procesu przyjmowania nowych członków do Sojuszu. Od siły argumentów może bardzo wiele zależeć, jeśli idzie o nastroje i opinie społeczeństwa amerykańskiego. Niewykluczone, że to dość duże poparcie na rzecz rozszerzenia *NATO* może spaść, gdy przeciwnicy procesu dotrą ze swymi racjami (zwłaszcza z tymi, które dotyczą kosztów otwarcia Sojuszu na Wschód) do amerykańskiego wyborcy, co dwa lata podążającego do urn wyborczych.

Nie należy więc zapominać, że poprzez opinię społeczną uczestnicy publicznej dyskusji na temat otwarcia *NATO* oddziałują na Kongres USA. A następna, ważna batalia w procesie rozszerzania *NATO* rozegra się na forum Senatu. Po zakończeniu negocjacji projekt traktatu parafowanego z nowymi członkami *NATO* trafi pod obrady amerykańskiego Senatu (i wszystkich pozostałych parlamentów państw *NATO*). Za ratyfikacją traktatu będzie musiało wówczas zagłosować co najmniej 67 spośród 100 senatorów.

Dlatego z polskiej perspektywy równie ważne jak wybory prezydenckie było głosowanie nad składem Kongresu. Bowiernie jednocześnie z wyborami prezydenckimi wybierany był pełny skład 435 – osobowej Izby Reprezentantów oraz 1/3 składu Senatu (34 senatorów). Biorąc pod uwagę uprawnienia Kongresu, a szczególnie izby senackiej w kształtowaniu amerykańskiej polityki zagranicznej, wybory te stanowiły referendum na temat strategicznych kierunków dyplomacji USA. Nowo wybranych 34 senatorów wraz z senatorami wybranymi przed dwu laty (miażdżące zwycięstwo odnieśli wówczas republikanie), będą stanowić większość senacką w 2000 r. I albo zgodzą się na rozszerzenie *NATO*, albo odmówią gwarancji, wynikających z art. 5 traktatu waszyngtońskiego. Choćby z tego powodu wybory do Kongresu z 1996 r. zasługiwały na uwagę.

Przed wyborami mówiono w Waszyngtonie, że Senat następnej kadencji będzie miał stosunkowo niewielkie doświadczenie w kwestiach międzynarodowych, a skupi się najpierw na sprawach społecznych i gospodarczych. Poniekąd wynika to z zachodzącej na Kapitolu zmiany pokoleniowej. Wiadomo było, że Kongres w 1996 r. opuści wielu z tej generacji polityków, którzy

¹⁹ „Polityka” z 19 X 1996; „Gazeta Wyborcza” z 15 X 1996.

pamiętali czas II wojny światowej i dojrzewali w okresie zimnej wojny. Tradycyjnie więc forsowali oni perspektywę atlantycką, uznając *NATO* za podstawę amerykańskiego bezpieczeństwa. Politycy ci wiedzieli, po czyjej stronie, gdy pretensje Rosji do statusu wielkiego mocarstwa stawały w konflikcie z aspiracjami wolnych narodów. Można byłoby liczyć, że w głosowaniu nad rozszerzeniem *NATO* opowiedzą się za przyjęciem nowych członków.

Obok przegranego w wyborach prezydenckich senatora Dole'a, na polityczną emeryturę odszedł więc w styczniu 1997 r. republikanin Hank Brown z Colorado, niestrudzony adwokat polskiej sprawy. Także inny rzecznik polskich interesów, demokrata Paul Simon z Illinois zrezygnował z ubiegania się o miejsce w Senacie. Wzgórze Kapitolu opuścili zwolennicy międzynarodowego zaangażowania USA senatorzy, republikańscy Nancy Kassebaum, William Bradley i William Cohen. Na szczęście ten ostatni wszedł w skład administracji Clintona jako sekretarz obrony. Samuel Nunn, długoletni przewodniczący senackiej komisji sił zbrojnych, również odchodzący z Senatu, wprawdzie nie należał do rzeczników rozszerzenia *NATO* (w listopadzie 1996 r. złagodził swe stanowisko), ale był uważany za jednego z najlepszych na Kapitolu znawców spraw bezpieczeństwa.

O ponowny wybór musiało ubiegać się wielu innych senatorów, zdolnych rozsądnie, a nie naiwnie spoglądać na amerykańskie interesy w świecie oraz właściwie oceniać rolę i miejsce Rosji w polityce Stanów Zjednoczonych. Republikanie: Ted Stevens, przewodniczący komisji finansów, Strom Thurmond, rządzący zdecydowanie (mimo 93 lat) komisją sił zbrojnych, wreszcie Jesse Helms, stojący na czele komisji spraw zagranicznych byli w grupie tych senatorów, których kadencja kończyła się w 1996 r. Ci doświadczeni senatorowie – jak pisze działacz republikański Bruce Jackson – „wiedzieli, że świat jest miejscem niebezpiecznym, a silne sojusze czynią dobrych przyjaciół nawet z tych sąsiadów, którzy czasami pobrzękują swymi zardzewiałymi raketami”²⁰. Jako przewodniczący ważnych komisji senackich, mogli oni niezwykle skutecznie oddziaływać na decyzje podejmowane na Kapitolu. Ich ponowny wybór byłby więc ważny także dla podtrzymania amerykańskiego zaangażowania w Europie oraz korzystny dla stosunków polsko-amerykańskich.

O ponowny wybór musiał też ubiegać się republikanin John Warner, prawa ręka w komisji sił zbrojnych nie zawsze sprawnego intelektualnie jej przewodniczącego S. Thurmonda. Senator Warner bardziej niż jego kontrkandydat – też Warner, ale Mark – zainteresowany jest przyłączeniem państw Europy Środkowej do Paktu. „Mark Warner zarobił miliony na telefonach komórkowych i mógłby przyłączyć Polskę do Internetu, ale nie do *NATO*” – pisze B. Jackson²¹.

²⁰ „Polityka” z 2 XI 1996.

²¹ Tamże.

Ale jeżeli w ich miejsce zostaliby wybrani senatorowie niedoświadczeni w sprawach międzynarodowych, albo ci, którzy rozszerzenia *NATO* nie uznają za priorytet amerykańskiej polityki zagranicznej, perspektywy tego procesu byłyby zapewne mniej pomyślne. Kierowanie ważnymi komisjami mogłoby przejść w ręce już nie tak bardzo pronatowskich i zdecydowanych senatorów. Wyjątek stanowiłaby komisja spraw zagranicznych, której przewodnictwo mógłby objąć niestrudzony „międzynarodowiec” Richard Lugar. Jest on znany z tego, że jako jeden z pierwszych na Zachodzie wystąpił z ideą rozszerzenia *NATO*, widząc w tym możliwość eksportu politycznej stabilności²². Kadencja Lugara na szczęście nie kończy się w 1996 r.

Można cieszyć się z faktu, że przewodniczący prominentnych komisji senackich w wyniku wyborów 1996 r. znaleźli się jednak ponownie w Kongresie. Przedłużył swój mandat senatora także John Warner. Grupę poparcia dla Europy Środkowej i *NATO* wzmacniają nadal w senacie centrowi Demokraci: Joseph Biden Jr. i Carl Levin. Ale poza tym w Senacie znalazło się wielu nowych polityków, których poglądy w sprawie *NATO* zdają się bliżej nie sprecyzowane. Niewielka wprawdzie przewaga republikanów w izbie wyższej Kongresu powinna być odczytana jako fakt pozytywny dla perspektyw rozszerzenia *NATO*. Warto pamiętać, że był to jeden z punktów republikańskiego programu wyborczego z 1994 r., tzw. kontraktu z Ameryką. Trudno jednak w tym momencie przewidzieć, czy uda się w przyszłości zebrać owe 67 głosów potrzebnych do ratyfikacji traktatu o rozszerzonym *NATO*. Pytaniem jest też, jaki będzie skład Senatu po wyborach uzupełniających w 1998 r. Gdyby dziś zapytać dowolnego senatora, czy Europa Środkowa powinna uwolnić się spod rosyjskiej dominacji, odpowiedź byłaby pozytywna. Ale gdyby tego samego senatora zapytać, czy amerykańscy żołnierze powinni bronić Białegostoku, odpowiedź nie byłaby już taka oczywista.

W przyszłej debacie nad ratyfikacją traktatu o rozszerzeniu bardzo wiele zależeć więc będzie od postawy administracji Clintona i samego prezydenta. W tak ważną sprawę jeszcze przed głosowaniem w Senacie powinien osobiście zaangażować się prezydent. Jego zadaniem będzie wytłumaczyć wyborcom i ich przedstawicielom, dlaczego objęcie państw Europy Środkowej gwarancjami bezpieczeństwa służy amerykańskim interesom. Przy założeniu, że Partia Republikańska podtrzyma swe wcześniejsze deklaracje o konieczności rozszerzenia *NATO*, Clinton będzie musiał przekonać niezdecydowanych senatorów demokratycznych. Z dużym prawdopodobieństwem należy założyć, że ci senatorzy z Partii Demokratycznej, których sprawy *NATO* niewiele obchodzą, zagłosują tak, jak zechce ich lider. Rzecz więc w tym, na ile Clinton zechce być wiarygodny i gotowy zrealizować swą przedwyborczą obietnicę. Znosi się

²² R. Lugar, *Out of Area or Out of Business*, przemówienie przed „Overseas Writers Club” 24 VI 1993; „U.S. Policy and Texts” z 8 VII 1993, ss. 31 - 42.

więc na to, że sprawa ratyfikacji traktatu nad rozszerzonym Paktem będzie najważniejszym w zakresie polityki zagranicznej głosowaniem w Senacie w ciągu ostatniej dekady.

4. STOSUNKI AMERYKAŃSKO-ROSYJSKIE

Waga debaty nad rozszerzeniem *NATO* będzie polegała także na tym, że odbędzie się ona w kontekście innego ważnego problemu amerykańskiej polityki zagranicznej, jakim niewątpliwie są stosunki z Rosją i jej rola w kształtowaniu nowego porządku międzynarodowego. Stosunki amerykańsko-rosyjskie w okresie prezydentury Clintona przeszły dość widoczną ewolucję od momentu, gdy twierdzono, że nie należy drażnić Moskwy, by nie zaszkodzić trwającemu w Rosji „procesowi demokratyzacji”. Niewątpliwie było wiele słuszności w opiniach, że sukces polityki Zachodu po zakończeniu zimnej wojny nie może polegać na tym, że Rosja znajdzie się na krawędzi załamania, lecz na tym, że wejdzie ona do społeczności demokratycznych narodów. Nie można było – zdaniem amerykańskich polityków i strategów – wykluczyć, że Rosja w specjalnych okolicznościach, przyciśnięta do muru, może zrobić użytek ze swego arsenału nuklearnego. Administracja Clintona uznała zatem, że wspieranie przemian demokratycznych w Rosji służy najlepiej umacnianiu stabilizacji w samej Rosji, poradzieckich republikach oraz w całej Europie. Nie należało więc drażnić Moskwy, by nie zaszkodzić „procesowi demokratyzacji”. Alternatywą mogła być bowiem Rosja pogrążona w konfliktach etnicznych i wojnie domowej, gdzie nikt nie kontrolowałby arsenału nuklearnego.

Architektem polityki Waszyngtonu wobec Moskwy był wspomniany już wielokrotnie Talbott, o którym Zbigniew Brzeziński napisał, że jest „romantycznie zafascynowany Rosją”. Z jego inicjatywy dawną politykę powstrzymywania wobec Moskwy zastąpiono „strategią partnerstwa”. Przyznawała ona Rosji priorytet w stosunkach z Europą, co umacniało pewność Rosjan, że wspólnie z Amerykanami ponoszą odpowiedzialność za świat. Konsekwencją takiego stosunku do Rosji była polityka ustępstw i akceptacji wszelkich posunięć Moskwy, łącznie z rosyjską interwencją w Czeczenii. Ponadto przez dłuższy czas Waszyngton *de facto* przyznawał Rosji prawo weta wobec rozszerzenia *NATO*. Przychylano się do argumentów, że otwarcie *NATO* na Wschód stworzy nowe linie podziału w Europie i zamiast przyczynić się do umocnienia stabilizacji w regionie może spowodować wzrost napięć oraz nasilenie rosyjskiego nacjonalizmu. Tak więc nawet wówczas, gdy administracja oficjalnie poparła koncepcję otwarcia *NATO* na Wschód, starano się zrobić wszystko, aby proces ten maksymalnie spowolnić.

Ustępliwość amerykańska spowodowała, że polityka Moskwy w okresie pierwszej kadencji Clintona stała się bardziej stanowcza, a nawet bezwzględna.

Rosjanie uważają bowiem kompromis za porażkę, a nie za sukces. Ustępstwa odczytują jako objaw słabości i wykorzystują to, aby domagać się następnych koncesji. Ówczesny minister spraw zagranicznych Andriej Kozyrjew głośno przedstawiał żądania i wymagania Moskwy: „powinniście uznać Rosję za partnera gry, uznać prawo do obrony naszych interesów i odgrywania ważnej roli w świecie”. Podczas spotkania ministrów spraw zagranicznych NATO z Kozyrjewem w czerwcu 1994 r., rosyjski minister domagając się specjalnych przywilejów dla Rosji, stosował „prawdziwie radziecką taktykę” – przyznał jeden z urzędników Departamentu Stanu.

Rosjanie potrafili też skutecznie wykorzystać argument swego potencjału nuklearnego. Sekretarz obrony William Perry usłyszał w kwietniu 1995 r. w Moskwie od ówczesnego rosyjskiego ministra obrony Pawła Graczowa, że jeśli NATO przybliży się do Rosji, to może ona wycofać się z porozumienia o ograniczeniu broni konwencjonalnej w Europie, przesunąć swoje siły zbrojne ku Zachodowi i odtworzyć coś w rodzaju Układu Warszawskiego z byłymi republikami sowieckimi. W odpowiedzi Perry stwierdził, że proces rozszerzenia NATO będzie trwał długo.

Nic dziwnego, że polityka amerykańska, wspierająca przeobrażenia w Rosji, stała się obiektem ostrej krytyki ze strony części amerykańskiej elity politycznej. Krytycznie oceniano priorytet spraw rosyjskich w dyplomacji USA. Pisano, że Rosja jest jeszcze zbyt nieukształtowana, by mogła odgrywać rolę kotwicy amerykańskiej polityki zagranicznej. Podkreślano konieczność szerszego uwzględniania w działaniach Waszyngtonu interesów Europy Środkowej, a także państw poradzieckich, m.in. Ukrainy. „Strategiczne partnerstwo” między Rosją a Stanami Zjednoczonymi uznano za przedwczesne. „Koncepcja prawdziwego partnerstwa, jeśli nie ma być tylko rytualnym sloganem, obliczonym na ukojenie rosyjskiej zranionej dumy narodowej musi mieć mocną podstawę w postaci wspólnych celów i interesów. Tymczasem rosyjskie cele, nawet jeżeli nie są imperialne, to mają takie znamiona” – pisał Z. Brzeziński²³.

Z czasem i administracja Clintona przyznała, że polityka ustępstw wobec Moskwy może doprowadzić amerykańską dyplomację w ślepy zaułek. Starano się zatem w większym stopniu realizować proponowaną przez Z. Brzezińskiego politykę konsolidacji pluralizmu geopolitycznego wewnątrz dawnego ZSRR. Jej istota polegała na umocnieniu niepodległych państw dawnego Związku Radzieckiego. Nawet S. Talbott przyznał, że zdolność Ukrainy oraz innych państw poradzieckich „do utrzymania swej niepodległości i kontynuowania reform będzie miała wielkie znaczenie dla przyszłości samej Europy”²⁴.

²³ Z. Brzeziński, „Foreign Affairs”, March/April 1994, s. 28.

²⁴ „New York Review of Books” z 10 VIII 1995.

W zakresie rozszerzenia *NATO* doszło do wspomnianego przyspieszenia procesu. Amerykanie zadeklarowali na początku 1995 r., że w kwestii otwarcia Sojuszu na Wschód nie będzie uwzględniane weto z zewnątrz. Talbott, który wcześniej był autorem licznych wewnętrznych raportów ostrzegających, że otwarcie *NATO* zdestabilizuje sytuację w Rosji, w sierpniu 1995 r. stwierdził zupełnie coś innego. Tym razem zastępca sekretarza stanu dowodził, że w interesie demokratycznej Rosji leży rozszerzenie poprzez *NATO* „strefy politycznej stabilności” na Europę Środkową, choćby dlatego, że „dwukrotnie w tym stuleciu, w dwóch wojnach światowych, Rosja ucierpiała z powodu niestabilności tego regionu”²⁵.

Zmienił się też ton wypowiedzi na tematy rosyjskie. Nie brakowało krytyki, zwłaszcza gdy szło o brutalizację wojny w Czeczenii lub odradzania się imperialnych tendencji, sprzecznych z amerykańskimi interesami. Występując w Instytucie Harrimana 29 października 1996 r. Talbott przestrzegał, że jeśli Rosjanie wrócą do swych starych przyzwyczajęń i błędów, będzie to szkodliwe nie tylko dla stosunków amerykańsko-rosyjskich, ale dla bezpieczeństwa międzynarodowego, może także doprowadzić do samoizolacji Rosji. „Te błędy to budowanie własnego bezpieczeństwa kosztem innych i złe założenie dotyczące samego bezpieczeństwa”. W tym kontekście Talbott ponownie poparł proces rozszerzenia *NATO*, odmawiając Moskwie prawa weta w tej kwestii²⁶. Deklaracja złożona przez Clintona w Detroit oraz decyzje podjęte w Brukseli w grudniu 1996 r. dowodziły, że przynajmniej obecnie zastrzeżenia Moskwy nie zostały uwzględnione.

Nie rozwiązuje to bynajmniej sprawy. Rosja dysponująca potencjałem nuklearnym nie będzie pomijana w amerykańskich kalkulacjach politycznych, czy to dotyczących rozszerzenia *NATO*, czy kwestii odgrywania przez Moskwę znaczącej roli w systemie bezpieczeństwa europejskiego. Wyrazem tego jest prowadzony przez dyplomację waszyngtońską a zaakceptowany przez polityków natowskich tzw. pogłębiony dialog z Moskwą. Polega on na tym, że realizacji niezależnej decyzji Sojuszu o przyjęciu nowych członków towarzyszy proces pogłębiania współpracy między Rosją a *NATO*. Chodzi o to, aby Rosja poprzez rozszerzenie *NATO* nie czuła się wyizolowana z nowego systemu bezpieczeństwa europejskiego, ale była tego systemu ważnym elementem. Może to osłabić opór Moskwy wobec rozszerzenia *NATO*. Z dużą dozą prawdopodobieństwa należy założyć, że kwestia ta zdominuje politykę Waszyngtonu wobec Moskwy.

Intensywne prace nad pogłębieniem i sformalizowaniem stosunków *NATO*-Moskwa trwają w Brukseli od dłuższego już czasu. Przez całe lato 1996 r. specjalna grupa ekspertów zastanawiała się, jak usatysfakcjonować obie strony. Rosja domaga się, by formalne porozumienie z Sojuszem (tzw.

²⁵ Tamże.

²⁶ „Gazeta Wyborcza” z 4 XII 1996, 31 X-1 XI 1996.

porozumienie strategiczne) uwzględniało jej potęgę, wpływ w świecie i wyróżniało ją spośród nowo przyjętych członków Paktu z Europy Środkowej i Wschodniej. Zdaniem ministra spraw zagranicznych Jewgienija Primakowa porozumienie powinno dać Moskwie uprawnienia niewiele mniejsze od praw przysługujących członkom Sojuszu. Niektóre decyzje *NATO*, „te bezpośrednio dotyczące nas”, powinny zaś być podejmowane wyłącznie za obustronną zgodą i mieć charakter obligatoryjny.

Nie wydaje się możliwe, że Amerykanie i pozostali członkowie *NATO* będą w stanie zaakceptować wszystkie żądania rosyjskie. Mogło by to bowiem doprowadzić do osłabienia *NATO*, a z Rosji uczynić faktycznego 17. członka Sojuszu, zanim jeszcze zostaną przyjęte państwa z Europy Środkowej. Zresztą sama Rosja przybiera postawę oblubienicy, o której względy należy się ubiegać, sama wykazując przy tym skłonność do dąsów. Reakcją strony rosyjskiej na ustalenia w sprawie rozpoczęcia w lipcu 1997 r. procesu rozszerzania Paktu, było odrzucenie *NATO*-wskiej propozycji wymiany oficerów łącznikowych. Chodziło o to, aby w Kwaterze Głównej Sojuszu zainstalowali się rosyjscy oficerowie łącznikowi, a w rosyjskim ministerstwie obrony – oficerowie Sojuszu. Miał to być pierwszy sygnał, że Rosja zgadza się na zacieśnienie współpracy z Szesnastką. Tymczasem rosyjski minister obrony Igor Rodionow przebywając 18 grudnia 1996 r. w Brukseli nie tylko powtórzył sprzeciw Rosji wobec rozszerzenia *NATO*, ale odrzucił również ofertę dotyczącą wymiany oficerów.

Należy jednak założyć, że mimo rosyjskich oporów i sprzeciwów, wywołanych grudniową decyzją Paktu, dojdzie jednak do podpisania porozumienia strategicznego Rosji z Sojuszem. Sama Rosja rozumie z pewnością, że może tylko zyskać na takim porozumieniu, ale na razie stara się podbijać cenę. Nie powinniśmy się też dziwić, że przyjdą momenty, w których Waszyngton i pozostali członkowie *NATO* będą więcej uwagi poświęcać Moskwie, chcąc wymusić na niej zgodę na zacieśnienie współpracy. Ale jest to też w naszym interesie. Sfinalizowanie porozumienia strategicznego spowoduje, że nowa mapa bezpieczeństwa europejskiego, a w tym rozszerzone *NATO*, być może zyska przyzwolenie Moskwy. Musimy jednak bacznie przyglądać się, aby składane przez Stany Zjednoczone i pozostałe państwa *NATO* propozycje wobec Rosji nie naruszały interesów państw Europy Środkowej.

Amerykanie prawdopodobnie będą nadal proponowali Rosji coś w stylu członkostwa politycznego, bez prawa weta i gwarancji bezpieczeństwa. Choć na przykład Niemcy lansują ideę utworzenia specjalnego, stałego mechanizmu konsultacyjnego, w ramach którego Rosja miałaby takie same prawa jak pozostałe państwa Szesnastki. Konsultacje miałyby dotyczyć m.in. misji pokojowych, rozbrojenia czy nierozprzestrzeniania broni atomowej. W każdym razie bezpieczeństwo w Europie jest możliwe tylko z Rosją, nie ponad nią czy bez niej. I w tym kierunku działać będą nie tylko Stany Zjednoczone, ale także Europa Zachodnia. Nieuniknione też będą pewne ustępstwa.

Niewątpliwie ustępstwem wobec żądań Moskwy była deklaracja towarzysząca grudniowej decyzji Sojuszu. Zapowiadała ona, że nie będzie lokowana broń jądrowa na obszarze państw – nowych członków *NATO*. Jakkolwiek może się niektórym ta decyzja nie podobać, gdyż stwarza wrażenie skazania nas na członkostwo drugiej kategorii, to jednak z wojskowego punktu widzenia jest ona mało znacząca. Przy obecnym rozwoju technologii, rakiety stacjonujące w Wielkiej Brytanii czy USA są wystarczającym zabezpieczeniem także dla Europy Środkowo-Wschodniej. Jeżeli zatem akceptacja rosyjskiego żądania w sprawie broni nuklearnej może przyczynić się do przełamania oporu Moskwy, to nie ma czego żałować. Idzie tylko o to, aby dalsze ustępstwa nie zmierzały faktycznie do trzymywania nowych członków z dala od struktur wojskowych Sojuszu.

Gra, którą Amerykanie prowadzą i będą dalej prowadzili z Rosjanami, dotyczy nie tylko sprawy akceptacji przez Moskwę procesu rozszerzania *NATO*. Z amerykańskiego punktu widzenia sprawą znacznie ważniejszą jest posuwanie do przodu kontroli zbrojeń. Rosyjski parlament od dawna blokuje ratyfikację układu o redukcji broni nuklearnej *START-2*²⁷. Układ ten wejdzie w życie dopiero po zgodzie obydwu parlamentów na jego ratyfikację. Do tej pory uczynił to jednak tylko Kongres USA. Większość deputowanych kolejnych parlamentów Rosji mierzy potęgę państwa liczbą głowic jądrowych i nie godzi się na ich zmniejszenie.

Administracja Clintona z kolei podejmowała różne kroki, aby przekonać Rosjan o korzyściach zmniejszenia liczby głowic nuklearnych. Sekretarz obrony Perry 17 października 1996 r. wystąpił przed komisjami rosyjskiej Dumy. Bez skutku. Zdominowana przez komunistów i populistyczną opozycję Duma z pewnością nadal będzie blokowała ratyfikację układu. Administracja Clintona będzie musiała znaleźć jakieś rozwiązanie tej patowej sytuacji. Na pewno dołoży takich starań. Rzecz bowiem idzie o znaczące oszczędności budżetowe. Być może trzeba będzie zgodzić się na „skorygowanie parametrów ilościowych i jakościowych umowy *START-2*”, o czym mówił minister Rodionow. Lub rozpocząć negocjacje *START-3*, których rezultatem byłaby likwidacja przez Stany Zjednoczone sprawnej broni, a przez Rosję broni nadającej się jedynie na złom. Mogłoby to jednak poprawić nastawienie Rosjan.

Renegocjowany będzie też zapewne układ o zbrojeniach konwencjonalnych w Europie. Rosja otrzyma prawo do utrzymywania większej niż dotychczas liczby wojsk w europejskiej części kraju. Jest to nieunikniona cena rozszerzenia *NATO*.

²⁷ Układ o redukcji strategicznych sił ofensywnych *START-2* został podpisany przez prezydentów Rosji i USA 3 stycznia 1993 r. Przewiduje on redukcję liczby głowic nuklearnych do 3-3,5 tys. po każdej ze stron (rosyjski arsenał pocisków dalekiego zasięgu wynosi obecnie 6 tys. sztuk).

Postępowanie Stanów Zjednoczonych z Rosjanami będzie więc nadal ostrożne i wyważone, jakie należy się państwu, które choć osłabion i niestabilne, jednak dysponuje potencjałem nuklearnym zdolnym zagrozić Ameryce. Stawką w tej grze pozostanie kwestia włączenia Rosji w tworzoną architekturę bezpieczeństwa europejskiego. Dlatego nie należy prowokować zbyt mocno Moskwy nieprzemyślanymi posunięciami dotyczącymi czy to rozszerzenia *NATO*, czy to redukcji zbrojeń. I z tym należy się pogodzić.

Pozostaje też kwestia ewentualnej sukcesji po Borysie Jelcynie. Nie można bowiem wykluczyć faktu, że mimo pomyślnie – jak twierdzą lekarze – przeprowadzonej operacji prezydent Rosji nie będzie w stanie sprawować swego urzędu. Trzeba będzie znaleźć innych partnerów w Rosji. Ale tak naprawdę to brak w Rosji konia, na którego warto by postawić. Najbardziej odpowiadający Waszyngtonowi kandydat Grigorij Jawniński w wyborach prezydenckich nie odniósł znaczącego sukcesu i z perspektywy zagranicy znaczy niewiele na rosyjskiej scenie politycznej. Aleksander Lebiedz wprawdzie nie powiedział jeszcze ostatniego słowa w polityce, ale na razie brak mu silnego zaplecza politycznego, niezbędnego do znaczącego funkcjonowania w demokracji. Wydaje się jednak wielce prawdopodobne, że właśnie Lebiedz będzie alternatywą dla Jelcyna, braną pod uwagę w kalkulacjach administracji Clintona. Chyba, że Clinton popełni błąd prezydenta Busha, który uparcie popierał Gorbaczowa, nie dostrzegając w tle rosnącej pozycji Jelcyna.

W istocie najważniejszym elementem europejskiej polityki Stanów Zjednoczonych będzie w najbliższej przyszłości wola działania i chęć uczestnictwa w sprawach Europy. Rzecz głównie w tym, aby Ameryka chciała się angażować i była zdecydowana działać. Żeby transpacyfizm nie zdominował transatlantyzmu. Aby filar amerykańskiego zaangażowania w Europie – *NATO* pozostało ważnym punktem w kalkulacjach waszyngtońskich strategów. Wreszcie, by Stany Zjednoczone były ważnym elementem europejskiej architektury bezpieczeństwa.

MARIA TOMCZAK

**DUCH I WŁADZA
INTELEKTUALIŚCI PODZIELONYCH NIEMIEC
WOBEC PAŃSTWA I NARODU**

Stron 240

Prezentowana publikacja stanowi próbę przedstawienia czterdziestoletniej (1949 - 1989) działalności politycznej intelektualistów niemieckich, którzy stanęli nie tylko przed problemem przezwyciężenia skutków II wojny światowej, ale musieli uporać się również z podziałem kraju na dwa państwa i budową w każdym z nich innego systemu społeczno-politycznego.

Zaangażowanie polityczne elit twórczych i intelektualnych RFN i NRD stało się niezwykle istotne w momencie zjednoczenia obu państw i toczących się w związku z tym dyskusji wokół jedności kultury, literatury i nauki niemieckiej.

Odmienność warunków, w jakich przyszło funkcjonować intelektualistom podzielonych Niemiec powodowała, że różnie widzieli oni swoje zadania i rolę w społeczeństwie. Stąd też niemalą trudność sprawiło Autorce pracy doszukanie się elementów wspólnych w postawach wobec państwa po obu stronach granicy niemiecko-niemieckiej. Pytanie, czy uprawnione jest łączne traktowanie niemieckich elit intelektualnych, ma szczególne znaczenie wobec niechęci, jaką ujawnili intelektualiści lewicowi wobec zjednoczenia Niemiec.

DO NABYCIA:

- w księgarniach naukowych
- w Instytucie Zachodnim, 61 - 772 Poznań, Stary Rynek 78/79 (także za zaliczeniem pocztowym)
- w księgarni Instytutu Zachodniego, Poznań Ratuszowa 25/27 (domki budnicze)

